

Julia Keilowa

Małgorzata Czyńska

**Metaloplastyczka
na nowe
czasy**

MARGINESY

Wydawnictwo Marginesy dołożyło należytej staranności w rozumieniu art. 335 par. 2 kodeksu cywilnego w celu odnalezienia aktualnych dysponentów autorskich praw majątkowych do zdjęć opublikowanych w książce. Z uwagi na to, że przed oddaniem niniejszej książki do druku nie odnaleziono niektórych autorów zdjęć, Wydawnictwo Marginesy zobowiązuje się do wypłacenia stosownego wynagrodzenia z tytułu wykorzystania zdjęć aktualnym dysponentom autorskich praw majątkowych niezwłocznie po ich zgłoszeniu do Wydawnictwa Marginesy.

COPYRIGHT © BY Małgorzata Czyńska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

Forma jest wyrazem mojego istnienia.

EMMY ROTH



Prolog

Tak wygląda kobieta sukcesu. Modna fryzura na Ordonkę, usta mocno podkreślone szminką.

Jest artystką, pozuje starannie: twarz wspiera na dłoni, nie patrzy wprost w obiektyw aparatu, ucieka spojrzeniem w bok.

Jest młoda, piękna i intrygująca.

Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że zdjęcie wykonał mistrz portretu Benedykt Jerzy Dorys. Znali się, cenili, razem pracowali.

W 1939 roku zdjęcie trafiło do książki *Czy wiesz kto to jest*.

To ostania znana nam fotografia Julii Keilowej.

Kalendarz dla kobiet na rok 1939, który ukazał się nakładem Towarzystwa Wydawniczego „Bluszcz”, w dziale „Plastyka” podaje: „Statystyka sporządzona przez Kongres Obyw. Pracy Kobiet ustaliła cyfrę 850 czynnych plastyczek”. Zdaniem autorów na bliższe omówienie zasłużyło sześć rzeźbiarek: Hanna Nałkowska-Bickowa, Magdalena Gross, Olga Niewska, Zofia Trzcińska-Kamińska, Ludwika Nitschowa oraz Julia Keilowa.

Wszystkie były uznanymi artystkami. Wystarczy wspomnieć, że Nitschowa jest autorką pomnika Syreny na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie, a Niewska portretowała marszałka Piłsudskiego.



„Julia Keilowa. Zaczęła od portretów i głów. Jej «Norwid», rzeźbiony w drzewie ma dużo skupionego wyrazu. Obecnie wyspecjalizowała się w głowach i przedmiotach codziennego użytku, kutych ręcznie w blasze miedzianej i cynowej. Modele jej naczyń stołowych, waz, pater są wykonywane masowo przez jedną z naszych fabryk platerów”.

Torebka pamiętała lepsze czasy.

Szew podszewki był już miejscami rozpruty. Julia miała jednak większe zmartwienia niż sfatygowana torebka. Kiedyś oddałaby ją do reperacji u kaletnika albo po prostu kupiłaby nową.

Może zresztą na liście spraw do załatwienia miała i tę: naprawić torebkę.

Pewnie sama potrafiłaby to zrobić. Tworzyła w drewnie, kamieniu, metalu.

Igła i nitka, to takie nic.

Takie nic, a mogło ją uratować, ocalić.

Trzeba było zaszyć podszewkę, zacerować, wymienić, cokolwiek.

Równy szew, nowa podszewka i kto wie, może żyłaby dalej.

Szyli wszyscy. Jakby na wojnie jedną z najważniejszych umiejętności było właśnie to. Okupacja nauczyła ludzi oszczędności i pomysłowości. Ile kobiet nosiło kostium przerobiony ze starych spodni tenisowych syna czy smokingu męża? Bo po co synowi takie spodnie, skoro korty i tak były zarezerwowane *nur für Deutsche*, a i mało który mąż miał okazję przywdziać smoking w czasie wojny. Kobiety przerabiały więc męską odzież, szyły torby z tureckiego szala czy kawałka dywanika, a królicze futerko zastępowało

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

norki i karakuły. Igła i nitka wiodły prym. Nicowanie i przerabianie stanowiły odpowiedź na wojenną reglamentację. Moda jak zawsze odpowiadała potrzebom chwili. Warszawiacy na przekór okupacji nie rezygnowali z elegancji i szyku.

Ci, którzy wyobrażają sobie, że Polacy zostali złamani przez okupację, myślą się całkowicie. Prawdą jest, że przechodnie na ulicach miast są coraz bardziej bladzi i chudzi, a ich ubrania coraz bardziej wytarte, ale Warszawa np. mimo wszystko jest ożywiona i „zorganizowana”. Ludzie spotykają się w kawiarniach, ażeby wypić filiżankę kawy („ersatz”), bywają u znajomych na pogawędkach, jak dawniej. Każdy stara się wyglądać możliwie, chowając jak najbardziej błędy i braki swojej garderoby. Warszawianki są uśmiechnięte (jak zawsze) i starają się mieć wygląd staranny i dbały. Tę postawę odnajdziemy u wszystkich klas społeczeństwa i Niemcy nie odczuwają przyjemności, że osiągnęli cel, o który im chodziło: złamać ducha narodu

– donosił autor reportażu z okupowanej Polski, który ukazał się w 1943 roku w wydawanym przez francuski ruch oporu konspiracyjnym piśmie „La France Libre”.

Elegancki, a przynajmniej schludny wygląd stanowił okupacyjny pancerz. Julia Keilowa była elegantką i potrzebowała pancerza.

Malarka Monika Żeromska nie była odosobniona w przekonaniu, że szminka na ustach i lakier na paznokciach, a nawet oszczędna kropla przedwojennych perfum, pozwalały zachować resztki normalności, więcej – chroniły przed „obco-wrogim światem”.

Każde wyjście w ten obco-wrogi świat mogło się skończyć tragicznie.

Nawet jeśli Julia miała mocne papiery, to przecież w tamtych czasach dla Żydówki żadne papiery nie były wystarczająco mocne. Jej wygląd raczej nie budził podejrzeń, chociaż ciemne oczy i włosy, jak wiadomo, nie pomagały.

Zatem wychodząc na miasto, trzeba było wyglądać dobrze, jak najlepiej.

Julia zawsze była estetką, lubiła modę, co widać na tych zaledwie kilku zdjęciach, które się zachowały. Dbała o każdy aspekt życia, o nowoczesne piękno metalowych przedmiotów, które przez lata projektowała, i o urodę wnętrza, w których mieszkała. W każdym razie tak było przed wojną.

Teraz nie projektowała, bo wojna to nie czas na wykuwanie srebrnych cukiernic – i tak nie było cukru, którego można by do nich nasypać. Fabryki platerów, dla których przed okupacją projektowała serwisy, sztuce, wazony i wszystko, co podpowiedziała jej fantazja albo zapotrzebowanie rynku, zostały zajęte przez Niemców.

Domu nie miała, mieszkała kątem, właściwie to nie mieszkała, ale ukrywała się. Mogła tylko pomarzyć o pieczołowicie urządzonej domu na Saskiej Kępie, z którego wygnała ją wojna. Nie zdążyła się w nim namieszkać, nacieszyć się, spędziła tam zaledwie parę lat.

Od powrotu ze Lwowa do Warszawy w 1941 roku mieszkała u ludzi, którzy przechowywali ją, narażając własne życie.

Tak to wyglądało. Torebka mogła poczekać na reperację. Torebka to był drobiazg.

Patrole na ulicach Warszawy rozkazem: „Papieren” mroziły krew w żyłach, lecz dało się to jakoś obejść. Należało dobrze maskować strach, nie okazywać paniki, odpowiedzieć po niemiecku – a Julia dobrze mówiła w języku okupanta – ze spokojem wyjąć dokumenty z torebki, właśnie, z torebki, i pewnym głosem powiedzieć: „Bitte”.

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

Gdyby tylko skończyło się na kontroli dokumentów jak w tylu innych przypadkach. Ale nie skończyło się.

Historia z torebką mogła wydarzyć się 17 października 1943 roku. Taką datę odnajdujemy w jednej z powojennych ankiet personalnych syna Julii – Stefana Keil-Skrobiszewskiego. Przed wojną nosił imię Marceli, tak nazwali go rodzice, takie imię figuruje w jego akcie urodzenia. Skrobiszewski to nazwisko, pod którym ukrywał się w czasie okupacji. Zostawił je sobie po wojnie, dodał nazwisko rodowe.

Trzymajmy się przez chwilę tej daty.

Dalej są tylko domysły snute na strzępkach informacji, które zachowały się w rodzinie.

Podobno Julia poszła z wizytą do znajomych. W rodzinie zachowało się przeświadczenie, że odwiedziła siostrę Celinę Ringel, choć brak dowodów, że ta przebywała wówczas w Warszawie. Podobno ktoś ją zadenuncjował, podobno dozorca. Stefania Holzer, przyjaciółka Julii jeszcze z czasów młodości we Lwowie, miała rację: to Polaków należało się bać, nie Niemców, bo Niemcy nie rozpoznawali Żydów. Za to dawnego znajomego czy sąsiada można było spotkać w każdej chwili: na ulicy, w sklepie, na schodach kamienicy, w tramwaju czy w pociągu.

Jedni pomagali, drudzy donosili, trzeci pozostawali obojętni.

Do tej pory Julia miała szczęście do ludzi.

Niemcy musieli ją dokładnie przeszukać, przetrząsnąć tę nieśczęsną torebkę, gdzie pod rozprutą poszewką zapodziała się pieczętka z napisem Художні майстерні. Nawet nie pamiętała, że ją ma. Od powrotu ze Lwowa minęły dwa lata. Niemcy aresztowali ją za komunizm. Nie była komunistką. Художні майстерні to pracownie artystyczne. Художник znaczy artysta.

O okolicznościach śmierci Julii Keilowej nie ma jednoznacznych informacji w archiwach. Są zaledwie ślady. Wiemy tyle, co z nadzwyczaj skąpych relacji bliskich, męża i syna. W pismach urzędowych, w życiorysach dołączanych do podań mieszają się daty aresztowania i śmierci Julii – raz jest to rok 1941, raz 1942, raz 1943, raz sierpień, raz październik. W jednym formularzu w rubryce „praca” syn myląco podał, że do 1944 roku był na utrzymaniu matki. Julia wtedy już dawno nie żyła.

Kiedy po II wojnie światowej Ignacy Keil oficjalnie starał się o uznanie żony za zmarłą, napisał, że została aresztowana przez Gestapo w sierpniu 1942 roku i osadzona w więzieniu w Alejach Ujazdowskich.

„Po trzech dniach od aresztowania dowiedziałem się, że została rozstrzelana w obecnym gmachu Ministerstwa Oświaty, jako komunistka.

Od chwili uzyskania tej wiadomości wszelki ślad po niej zaginął”.

W 1951 roku Sąd Powiatowy Warszawa-Śródmieście uznał Julię Keilową, z domu Ringel, za zmarłą. Datę śmierci ustalono na 9 maja 1946 roku.

Symboliczny grób Julii Keilowej znajduje się na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach – kwatera A30, rząd 1, miejsce 25.

Stefan Keil-Skrobiszewski wybrał się na wycieczkę do Lwowa dopiero w 1971 roku. To musiała być dla niego trudna podróż. Trzydzieści lat wcześniej opuszczał Lwów z rodzicami. Na szczęście nie padli ofiarą tutejszych pogromów.

Mordy zaczęły się zaraz po wkroczeniu Wehrmachtu do miasta. W meldunku sytuacyjnym Związku Walki Zbrojnej podano:

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

Po wyjściu bolszewików pogromu Żydów nie było. Prześladowanie zaczęło się niezwłocznie po wejściu Niemców. Namówione przez nich i podszczone męty ukraińskie i polskie spędziły Żydów do więzienia, celem umycia zwłok pomordowanych przez bolszewików. [...] Spędzonych przeganiano przez szpaler ludzi z pałkami lub kamieniami w rękach. Zanim Żydzi dotarli do trupów, byli już dotkliwie pobici. Procedura mycia tak wyglądała: z mężczyzn Żydów musiało podnieść w górę za głowę i nogi pełne ran lub rozkładające się na upale straszliwe cuchnące zwłoki, a Żydówka wykonać w powietrzu ich umycie prawie nie do uskutecznienia w tym stanie, po czym podnieść rękę trupa do ust i ucałować.

W wydanej zaraz po wojnie książce *Zagłada Żydów lwowskich* historyk Filip Friedman pisze natomiast tak:

Już w pierwszych godzinach rozlepili Niemcy po mieście afisze podjudzające przeciwko Żydom. W tych afiszach i w ulotkach, rozdawanych na ulicach, przedstawiano Żydów, jako winowajców pożogi wojennej [...] Do niemieckich żołnierzy dołączyły się męty społeczne, szczególnie spośród nacjonalistów ukraińskich, oraz zorganizowana przez Niemców naprędce tzw. ukraińska milicja (policja pomocnicza). Zaczęło się od polowania na ulicach na mężczyzn żydowskich. Żydzi lwowscy, ogarnięci panicznym strachem, przeważnie nie wychodzili na ulice. Większość chowała się w swych mieszkaniach, w rozmaitych kryjówkach, lub po piwnicach i strychach. Ukraińska milicja i Niemcy, niezadowoleni ze zbyt skąpego polowu na ulicach, poczęli przetrząsać mieszkania żydowskie w poszu-

kiwaniu ofiar. Zabierano mężczyzn, gdziekolwiek jednak i całe rodziny, nie wyłączając dzieci, pod pretekstem, że mają oczyszczać więzienia lwowskie z trupów. Kilka tysięcy Żydów zagnano w ten sposób, wśród bicia, naigrywania się i szyderstw gawiedzi do więzień lwowskich na ulicę Kazimierzowską (Brygidki), na ulicę Łąckiego, na ulicę Zamarynowską i na ulicę Jachowicza. W „Brygidkach” zgromadzono kilkutysięczny tłum złapanych Żydów na podwórzu więziennym i bito ich tam w niemiłosierny sposób. Ściany więzienia dookoła podwórza były aż po pierwsze piętro oblane krwią torturowanych Żydów i oblepione kawałami mózgu. (Zeznania i osobiste przeżycia nieżyjącego już adwokata lwowskiego, dra Izydora Eliasza Lana, zam. przy ulicy Bernsteina 1). Niemniej potworne sceny rozgrywały się w pozostałych więzieniach. Część żydowskich ofiar rozstrzelano. W rezultacie, po dwudniowej masakrze, pozostała przy życiu tylko część uwięzionych, którą puszczono do domu, zaś kilka tysięcy zginęło wśród najwymyślniejszych mąk. Pośród ofiar tej pierwszej masakry znajdowali się: Dr. Jecheskiel Lewin, rabin postępowej gminy wyznaniowej we Lwowie i redaktor tygodnika „Opinia”, oraz Henryk Heschel – redaktor dziennika „Chwila”.

Stefan nie opowiadał dzieciom o wojennych przeżyciach. O babci Julii córki wiedziały tyle tylko, że była artystką.

Cała okupacyjna historia Stefana zamyka się w informacji, że na wsi paś krowy. W pasaniu krów nie ma nic strasznego. Córki nie rozumiały, dlaczego milczał.

Z dokumentów wynika, że w 1944 przebywał w Michalinie pod Warszawą, później w tym samym roku we wsi Wiśnicz Mały w powiecie bocheńskim, gdzie pozostał do 1945 roku.

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

„Gdybyście przeżyły to co on, też byście wołały o tym nie mówić”, tłumaczyła dziewczynkom matka. Najwyraźniej wiedziała więcej. Jednak również uważała, że córkom ta wiedza nie jest potrzebna.

Hanna Skrobiszewska, z domu Najberg, rozumiała męża.

Nie pojmowała tylko jego niechęci do dóbr materialnych, jakby wojna nauczyła go, że to wszystko nieważne. Nawet nie chodziło o bogacenie się, tylko o poprawę warunków życia. Kiedy Hanna zaczynała rozmowę na temat większego mieszkania, Stefan machał ręką.

Był maksymalistą jedynie w kwestii kultury, do priorytetowych wydatków należały te na bilety do teatru i filharmonii, na prasę i oczywiście książki. „Pieniądzy brakowało, ale na książki zawsze musiały być – wspominała Hanna. – Stefan kupował wszystko, co wychodziło i co udało mu się dostać w księgarni. To zamiłowanie do książek udzieliło się mnie i przeszło na dzieci. Na książki musiały być pieniądze i miejsce w domu”.

Mieszkali w Warszawie, najpierw przy Tarczyńskiej na Ochocie, blisko placu Zawiszy, potem na Woli przy Gibalskiego, gdzie mieli już dwa pokoje z kuchnią. Oboje pracowali w prasie. Stefan był dziennikarzem, w latach 1950–1955 redaktorem w „Sztandarze Młodych”. Uchodził za szlachetnego „harcerzyka”, sympatycznego i życzliwego, i za dobrego dziennikarza. Ciągnęło go do pracy z młodzieżą. Przedwojenny harcerz, po wojnie członek Związku Walki Młodych i Związku Młodzieży Polskiej, a następnie PPR i PZPR. W latach 1947–1951 studiował w Akademii Nauk Politycznych na Wydziale Społeczno-Politycznym, gdzie ukończył też Studium Dziennikarskie. Podobno rozważał studiowanie reżyserii, ale ostatecznie poświęcił się dziennikarstwu. Henryk Jerzy Chmielewski, ps. Papcio Chmiel, rysownik i autor komiksów, wspominając Stefana Skrobiszewskiego z początków ich drogi zawodowej, pisze tak: „W październiku 1947 roku władze Zarządu Głównego zwm

Prolog

(Związku Walki Młodych) przejęły się rolą Budowniczych Socjalizmu i postanowiły poprawić w nowym duchu profil «Świata Przyszłość» na bardziej kulturalny, pedagogiczny i socjalistyczny w treści. [...] Na sekretarza redakcji Zarząd Główny zwm przysłał młodego aktywistę Stefana Skrobiszewskiego, który przejął się swoją rolą ukulturalniania pisma i zaczął zamawiać teksty i opowiadania u znanych jeszcze sprzed wojny pisarzy, takich jak Janusz Meissner, autor Szkoły orląt. Wyraźne niezrozumienie, na jakich materiałach należy kształcić czytelnika w drodze do socjalizmu. Również drukowanie opowiadań Gustawa Morcinka i Kornela Makuszyńskiego nie było odpowiednim wyborem z punktu widzenia partii”.



Stefan Keil-Skrobiszewski
w młodości, zdjęcie
legitymacyjne

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

Można powiedzieć, że Stefan poszedł w ślady ojca – Ignacy Keil jeszcze przed wojną związany był z wydawnictwami książkowymi. Po wyzwoleniu pracował w Łodzi w Czytelniku, potem w Warszawie był inspektorem w Spółdzielni Wydawniczej „Książka”, następnie w Wydawnictwie MON „Prasa Wojskowa” pełnił funkcję kierownika Wydziału Księgarskiego oraz Wydziału Zbytu i Propagandy. W 1951 roku został zatrudniony w Ministerstwie Kultury i Sztuki jako kontraktowy starszy radca w Gabinetie Ministra. Ignacy Keil (po wojnie Keil-Piotrowski, bo on również zachował fałszywe nazwisko, pod którym ukrywał się w czasie okupacji) był z wykształcenia prawnikiem. Zmarł w 1956 roku.

W teczce Stefana Keil-Skrobiszewskiego w archiwum IPN zachowało się jego zdjęcie legitymacyjne z młodości. Portret zrobiony w atelier Benedykta Jerzego Dorysa przy Nowym Świecie 29. Na odwrocie odręczny napis: „Stefan Keil-Skrobiszewski”, a poniżej: „Nowe Życie”.

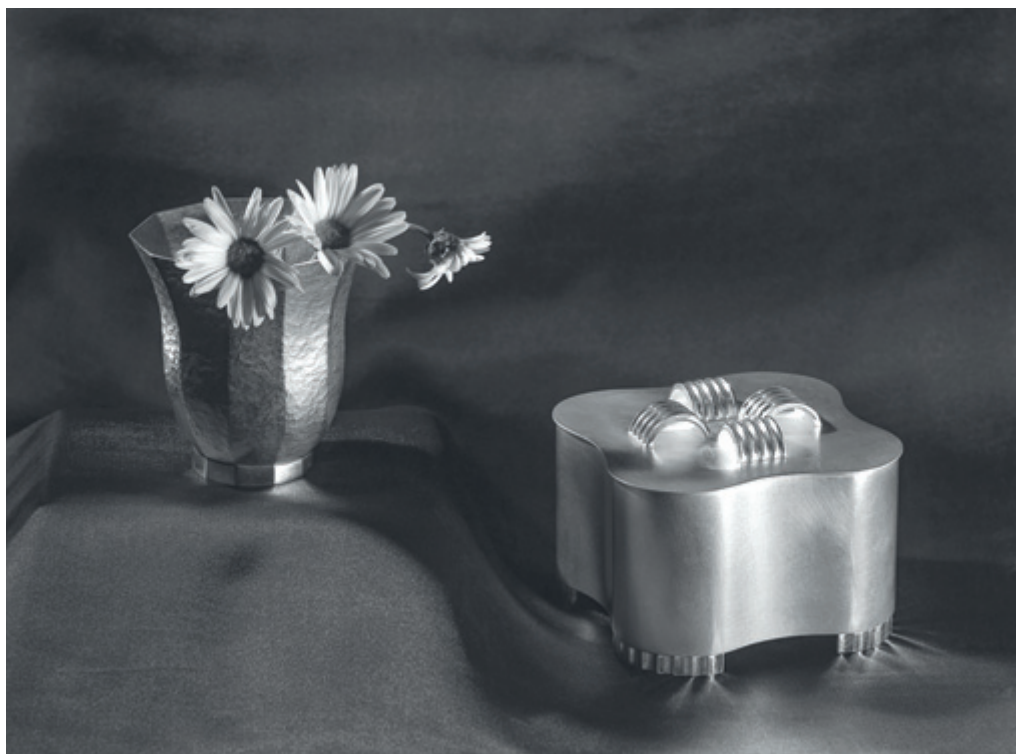
I tyle. Żadnych opowieści o przedwojennym życiu. Żadnych nazwisk, dat, adresów.

Dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych Stefan dał córkom po egzemplarzu reprintu *Czy wiesz kto to jest* z 1939 roku. Wtedy po raz pierwszy zobaczyły zdjęcie babci Julii Keilowej, ten wspomniany wcześniej portret młodej i pięknej kobiety sukcesu.

We Lwowie Stefan oczywiście poszedł na ulicę Supińskiego, która teraz nazywała się Kociubińskiego, bo naukowiec Józef Supiński, przedstawiciel polskiego nurtu ekonomii klasycznej, znaczył dla Rosjan mniej niż nic.

Tutaj, w domu pod numerem 6, dorastała Julia Ringłówna. Tutaj przed wojną i w czasie okupacji mieszkali jej rodzice i siostra.

Stefan dobrze znał miasto, ulicę Supińskiego, bo wołał pozostawać przy dawnej nazwie, i dom pod numerem 6. Przed wojną



Cukiernica z zastawy stołowej do deseru i kubek kuty w obiektywie Jerzego Benedykta Dorysa, około 1938 roku

przyjeżdżał przecież na wakacje do babci Chai i dziadka Feiwela. Lato 1939 roku również spędził u nich, i już został. W pierwszych dniach września dołączyli jego rodzice, Julia i Ignacy, którzy przedostali się do Lwowa z Warszawy. Mieszkali na Supińskiego niemal do końca 1941 roku.

Teraz ani w domu, ani w mieście nie było już nikogo z rodziny Ringlów. Prawdopodobnie nikt nie przeżył zagłady.

To nie tak, że Ignacy i Stefan nie dbali o pamięć o Julii. W rodzinie zachowały się notatki Stefana – próby uporządkowania genealogii, odtworzenia ścieżki wykształcenia i kariery, wyimki z przedwojennej prasy, wszystko to, co udało mu się zebrać, ocalić od zapo-





Patera z sarenką, około 1938 roku

mnienia. U Benedykta Jerzego Dorysa syn zabiegał o negatywy zdjęć prac Keilowej.

W latach trzydziestych cała śmietanka towarzyska stolicy fotografowała się w słynnym atelier Foto Dorys w Alejach Jerozolimskich 41, przy skrzyżowaniu z ulicą Poznańską.

Pierwsze uznanie przyniosły mu portrety Władysławy Kostakówny i Zofii Batyckiej, które dzięki jego zdjęciom w kolejnych latach wygrywały konkursy Miss Polonia. Pozycja tego pochodzącego z Kalisza fotografa sław szybko się ugruntowała, a do studia w Alejach Jerozolimskich zaczęli ciągnąć ludzie kultury, gwiazdy kina i estrady, wybitni artyści i literaci, politycy i dygnitarze. To tutaj Eugeniusz Bodo pozował ze swoim potężnym dogiem arlekinem

Patera „Sześciobok” i wazon „Wielki”, około 1935 roku

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

Sambo, a generał Rydz-Śmigły, który przyszedł bez zapowiedzi, prosto z ulicy, został przez znanego fotografa odprawiony z kwitkiem. Terminy oczekiwania były długie, ale klient zawsze wychodził zadowolony. Model oświetlony od tyłu – to jedna ze sztuczek zakładu – wspaniale prezentował się na zdjęciu. No i już sama odbitka ze stempelkiem „Foto-Dorys” nobilitowała.

Tę nową estetykę Dorys wprowadził również do fotografii reklamowej i produktowej. Robił zdjęcia mody i sztuki użytkowej. To, że właśnie on dokumentował rzeźby oraz obiekty projektu Keilowej, tylko potwierdza pozycję, jaką artystka cieszyła się w latach trzydziestych.

Na fotografiach Dorysa, wielokrotnie reprodukowanych w międzywojennej prasie, przedmioty Keilowej żyją własnym życiem i jeszcze zyskują na atrakcyjności dzięki umiejętnej grze światła i cienia, która wydobywa zróżnicowane faktury, wszystkie namacalne właściwości materiału. Dorys dopełnia opowieść Keilowej, podkreślając walory jej obiektów.

Ona tworzyła piękne przedmioty o nieskazitelnie czystych formach, on kreował fotograficzne obrazy nowoczesnego designu. Zdjęcia są zapisem spotkania dwojga artystów.

Klische dokumentujące dorobek Keilowej przez kolejne kilkadziesiąt lat leżały w zakładzie fotografa. Wypożyczył je dopiero w 1987 czy 1988 roku profesorowi Andrzejowi K. Olszewskiemu, historykowi sztuki, a przede wszystkim synowi przyjaciół. Znał Jędrka od małego. Kiedy Dorys uciekł z getta, Olszewscy udzielili mu pomocy i schronienia w mieszkaniu przy ulicy Polnej 32. Nie tylko jemu – przechowało się tu wiele osób żydowskiego pochodzenia.

Gdy we wrześniu 1939 r. nasze mieszkanie w Alejach Ujazdowskich zostało zbombardowane, zamieszkaliśmy

przy ul. Polnej 32, w reprezentacyjnej sześciopiętrowej kamienicy zajmującej narożnik Polnej i Mokotowskiej. Należała ona do brata mojej matki, właściciela największej w Warszawie firmy papierniczej Jana Kazimierza Siudeckiego. Po wyremontowaniu jej po znacznych uszkodzeniach podczas działań wojennych wuj przeznaczył dla nas mieszkanie na pierwszym piętrze, w którym mieszkał do wojny słynny jasnowidz inż. Stefan Ossowiecki. Zajmował on całe piętro z wejściami z trzech klatek schodowych, salką balową z kolumnkami niczym w pałacu lub we dworze. Trudno sobie dziś wyobrazić, ile to było metrów. Lokal ten został podzielony na trzy mieszkania. Początkowo zamieszkaliśmy w bocznym skrzydle od strony olbrzymiej kuchni i jadalni Ossowieckiego, następnie w trzech pokojach od Polnej

– opowiada Andrzej K. Olszewski.

Na marginesie: sławny jasnowidz nie przewidział najazdu Niemiec na Polskę. Malarz Wojciech Kossak nawet latem 1939 roku uspokojał rodzinę, mówiąc, że Stefanek Ossowiecki, z którym grywał w karty, twierdzi, że żadnej wojny nie będzie. Jeszcze wieczorem 31 sierpnia, w westybulu hotelu Bristol Maria Pawlikowska-Jasnorzewska – córka Kossaka – dostrzegła siedzącego w fotelu Ossowieckiego i podbiegła do niego:

– Czy będzie wojna? – pytała błagalnie. – Proszę, niech pan powie. Co będzie?

– Nic nie będzie. Nie będzie wojny. Wiem o tym. Mogę panią zapewnić – uspokojał ją jasnowidz.

Wracając do okupacyjnych losów mieszkańców domu przy Polnej 32, Andrzej K. Olszewski wspomina:

Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy

Pewnego dnia przyszedł do nas profesor Kazimierz Wiłkomirski, dobrze znał moich rodziców, w mojej obecności to było, dobrze pamiętam, mówi, że z getta został wyciągnięty znakomity fotograf, portrecista Benedykt Jerzy Dorys i ratujcie człowieka. Trzeba było mieć jakieś alibi, Dorys, jego nazwisko rodowe było Benedykt Rottenberg... Dorys to był pseudonim fotografa i później tym pseudonimem on się już podpisywał po wojnie, Benedykt Dorys, a tutaj miał wyrobione fałszywe dokumenty na nazwisko Jerzy Roszczyk. Dla nas do końca życia już był panem Jerzym, bo potem myśmy utrzymywali stosunki przez wiele lat. [...]

W każdym bądź razie Dorys się sprowadził do nas ze swoją służącą Marynią i jamniczką Bimbusią. Był to najśłodszy pies, jakiegokolwiek w życiu znałem. Lubiła bardzo pijać kawę zbożową, trzeba było jej zostawić zawsze troszkę. Dorys przeczekał u Olszewskich powstanie warszawskie. Jamniczka Bimbusia przeżyła wojnę.

Kiedy Andrzej K. Olszewski zbierał materiał fotograficzny do swojej pracy *Dzieje sztuki polskiej 1890–1980*, z nadzieją zwrócił się do pana Jerzego. „Pamiętam – wspomina – że jak prosiłem go o jedno zdjęcie Keilowej do książki, to wyjął szufladę, w której wszystko było fantastycznie uporządkowane, i powiedział: «bierz»”.

W książce reprodukowany jest komplet do kawy z około 1937 roku. W tekście o projektantce tylko jedno zdanie: „Z przedmiotów drobnych wymieńmy srebra stołowe projektu Julii Keilowej”. *Dzieje sztuki polskiej 1890–1980 w zarysie* zostały wydane w 1988 roku. Keilowa była wtedy kompletnie zapomnianą artystką.

Ta metaloplastyka nie była dobrze znana. W Keilowej zawsze fascynowała mnie niesłychana oryginalność formy.

U nas w domu była jej paterka. Rodzice mieli ją od przed wojny. Jakoś nie uległa zniszczeniu podczas bombardowania we wrześniu 1939 roku, kiedy straciliśmy wiele dzieł sztuki. Paterka ocalała i wędrowała z nami do kolejnych mieszkań. Może rodzice ją kupili, może dostali od projektantki. Przypuszczam, że mogli się znać osobiście. Ojciec przecież wszystkich znał

– wspomina profesor Olszewski.

Jego ojciec Czesław Olszewski, niedoszły architekt, był w latach trzydziestych wziętym fotografem dokumentalistą, robił zdjęcia architektury modernistycznej, wnętrz i wystaw. Stale współpracował z czasopismami „Architektura i Budownictwo” oraz „Arkady”, fotografował wystawy w Instytucie Propagandy Sztuki. Zachowały się też jego zdjęcia obiektów Keilowej.

Wypożyczonych klisz profesor Olszewski nie zdążył zwrócić. Benedykt Jerzy Dorys zmarł 19 września 1990 roku.

„To u mnie leżało całe lata – mówi Olszewski – aż w końcu przekazałem te klisze do zbiorów Instytutu Sztuki PAN”.

Dar stał się inspiracją do zorganizowania w 2015 roku w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk pierwszej konferencji poświęconej Julii Keilowej, której prace na fali zainteresowania stylem art déco znowu stały się modne i pożądane przez kolekcjonerów. Pełny tytuł konferencji brzmiał: *Julia Keilowa. Bogactwo i harmonia kształtów w obiektywie Benedykta Jerzego Dorysa*. Słowo wstępne wygłosił profesor Andrzej K. Olszewski.

Wracając do losów metalowej paterki z kolekcji Olszewskich: to talerzyk dekoracyjny „Trzy trójkąci” o średnicy 18 centymetrów z 1934 roku. Ręcznie repusowany i młotkowany. Artystka pokazała go na swojej wystawie w Instytucie Propagandy Sztuki w 1938 roku.



Prolog

Paterka Olszewskich przez kilkadziesiąt lat pozostała w posiadaniu rodziny. W 2020 roku została wystawiona w ramach I Aukcji Sztuki ze zbiorów profesora Andrzeja K. Olszewskiego, inaugurującej działalność Domu Aukcyjnego Artessia. Cena wywoławcza obiektu wynosiła 4500 złotych, cena wylicytowana – 9500 złotych. „Trzy trójkąci” zostały zakupione przez Muzeum Warszawy.

Talerzyk dekoracyjny „Trzy trójkąci”, około 1938 roku